

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Z dziejów lwowskiego patrycjatu

Dr. Paweł Kampian. — Lwowski Romeo i Julja. — Dyktatura Marcina Kampiana i jej tragiczny epilog.
Lew Lorencowiczowski

Mniej więcej do połowy XVII. wieku stanowił Lwów do pewnego stopnia samoistny, udzielnny organizm, — przynajmniej w pojęciu rodowitego mieszczanina, „Lwowczyka“, któremu marzyła się sława i potęga jakiejś republiki weneckiej czy Genui.

Toż w aktach miejskich nazywa się Lwów niejednokrotnie „Rzeczpospolitą“, a na kamiennym „lewku“, zwany lorencowiczowskim widniały dumne litery S. P. Q. L. (Senatus Populus que Leopoliensis) w otoku wieńca laurowego i herbów Rzplitej i Lwowa.

Mieszczanin lwowski, czy był „fatus“ czy „spectabilis“, odznaczał się gorącym patriotyzmem lokalnym: kochał to miasto, w murach którego zamknął się dla niego świat cały. Był jednak równocześnie najwierniejszym, najwaleczniejszym synem swej Ojczyzny, w obronie której stawiał chętnie na każde zawołanie, dla której ponosił największe ofiary.

Nazwiska Alembeków, Syxtów, Korniaktów, Kampianów, Boimów, Szolców, Anczewskich, zapisały się złotymi zgłoskami w historii Lwowa. Nazwiska albo spolszczone, albo zlatynizowane, nazwiska patrycjuszów lwowskich, nie pieczętujących się klejnotem szlacheckim, lecz swym własnym „gmerkiem“ mieszczańskim, równie wysoko cenił, — dumnych ze swego pochodzenia, zasług i majątku, własną pracą i przemyślnością zdobytego.

Jedną z takich patrycjuszowskich rodzin, której dzieje związane są ściśle z kroniką miasta, była rodzina Nowikampianów.

Protoplastą jej był dr. Paweł Novicampianus, znany i ceniony lekarz, który otrzymał prawo miejskie w roku 1560. Przybył on do Lwowa z rodzinnego miasteczka Nowopole (zwanego również Koniecpole), — od którego też przybrał zlatynizowane nazwisko „Novicampianus“, co z biegiem czasu uległo znów spolonizowaniu i skróceniu na Kampiana.

Dr. Paweł Kampian dorabiał się szybko znacznej fortuny. Umie obracać pieniądzem, — pożyczka je na dobry procent i odpowiedni zastaw. Jest wierzycielem nieublaganym, bezwzględny, — jak o tem przekonuje się i samo miasto, któremu dr. Paweł, wówczas już burmistrz, pożyczka 1000 złotych, biorąc w zastaw młyny miejskie.

Pan doktor procesuje się na prawo i lewo; akta miejskie przepełnione są sporami i pozwami, — wśród których nieustannie przewija się nazwisko Pawła Abrahamowicza, aptekarza i bezpośredniego sąsiada Kampiana.

Spór tych dwóch Pawłów, medyka

i aptekarza, — to naprawdę wdzięczny temat dla dramaturga, z nieśmiertelną historią Romea i Julji w lwowskim wydaniu: gdy śmiertelni wrogowie włączają się po sądach, młody Marcin Kampian nawiązuje stosunek z córką aptekarza, nadobną Elżbietką, stosunek, przypieczętowany węzłem małżeńskim po śmierci obu ojców.

W obliczu śmierci dr. Paweł Kampian sporządza testament, przeznaczając duże sumy na fundacje pobożne i dobroczynne. Jego to myślą było założenie zakładu zastawniczego „Mons Pius“, który „pożyczać ma ubogim mieszczanom lwowskim, rzemieślnikom i białogłomom na fanty do roku bez żadnego procentu“.

On też rozpoczął budowę kaplicy Kampianowskiej przy kościele katedralnym, będącej jednym z najcenniejszych pomników ówczesnej architektury. Budowę tę ukończył dopiero syn jego dr. Marcin Kampian.

Marcin Kampian, to jedna z najciekawszych postaci lwowskich z XVII. wieku. Do szczytu sławy, popularności i znaczenia dochodzi on w krytycznych dla Lwowa latach 1620—1623, kiedy to na nieszczęsne miasto waliły się kolejno wszystkie najstraszniejsze klęski: wojna, głód, ogień i morowe powietrze, którego ofiarą padło ponad 10 tysięcy mieszkańców Lwowa.

Marcin Kampian, z zawodu lekarz, spieszy wówczas z pomocą ofiarom. Kiedy całe miasto pustoszeje, kiedy w panicznym lęku przed zarazą uciekają wszyscy rajcowie miejscy, — on sam jeden wytrwał odważnie na posterunku, obejmując władzę niemal dyktatorską. W uznaniu tych wielkich zasług miasto ofiarowuje mu folwark Skniłówek, wielebając go jako swego zbawcę.

Co więcej, wycieńczone, scalone,

wyludnione miasto korzysta z pomocy finansowej, zaofiarowanej mu przez Kampiana, rzekomo zupełnie bezinteresownie.

Jak dowodzą akta miejskie, Kampian pożycza miastu 4.800 zł, — a w kilka lat później spłaca zaciągnięty przez miasto u Jezuitów dług w kwocie ponad 20 tysięcy złotych.

Czyni to „z czystej miłości dla miasta, ojczyzny swojej, która mu jest droższa nad życie“, — co jednak nie przeszkadza, że pretensje swoje zabezpiecza na młynach miejskich i na prawie rybołówstwa.

W tych warunkach staje się dr. Marcin Kampian prawdziwym, dyktatorem, a stanowisko swoje poczyną wyzyskiwać z całą bezwzględnością idąc pod tym względem w ślady swego ojca.

Równocześnie jednak jako burmistrz miasta okazuje dużo rozsądku i zapobiegliwości: Wzmocnia fortyfikacje miejskie, buduje wieżę ratuszową, dokonuje budowy kaplicy Kampianowskiej.

Autokratyczny jednak sposób rządów Kampiana zaciężył nieznośnie nad miastem. Na ratuszu lwowskim podnosi coraz śmiej głowę opozycja, której przewodzi słynny lekarz dr. Erazm Syxt.

Rozpoczyna się uciążliwy i przykry proces, którego epilogiem jest nie tylko zupełne usunięcie Kampiana z ratusza, — lecz nawet odebranie mu prawa miejskiego, — najboleśniejsza zniewaga, jaką miasto mogło wyrządzić swemu obywatelowi.

Nieszczęścia te dotknęły bardzo żywo Kampiana, nie złamały jednak jego hartu. I kiedy chwila zwycięstwa była już bliska, kiedy dekret królewski rehabilituje go, przywracając do honoru i piastowanych poprzednio godności

i urzędów, — Marcin Kampian w roku 1629 po krótkiej chorobie umiera, — nie doczekawszy ostatecznego tryumfu.

Pozostawił w spadku prawdziwie magnacką fortunę, szacowaną na około 200 tysięcy zł. w gotówce, nie licząc nieruchomości.

Jedyny syn jego, Jan Chryzostom, przepadł bez wieści zagranicą, podobno zabity w pojedynku. Córka, Zuzanna, poślubiła bogatego mieszczanina lwowskiego, Kaspra Szolca.

Tak więc już w trzecim pokoleniu wygasł ród Kampianów, którego dwaj pierwsi przedstawiciele odegrali dużą rolę w historii Lwowa.

Warto na zakończenie przypomnieć jeszcze historię tzw. „lewka Lorencowiczowskiego“, umieszczonego początkowo przed bramą ratuszową, a dziś niszczonego na Wysokim Zamku.

Historia ta datuje się z roku 1619, kiedy to na stołcu burmistrza zasiadał Bartłomiej Uberowicz. Tenże Uberowicz polecił pojmać i uwięzić szlachcica Niemirycza, którego następnie postawił przed sądem na ratuszu za zbrodnie gwałtu publicznego.

Jakkolwiek uwolniony, Niemirycz nie mógł przeboleć doznanego despektu, iż jego, szlachcica, ośmielono się uwięzić i sądzić. Zemścił się też w sposób zuchwały: podstępnie porwał Uberowicza z jego własnego dworku i skrepowanego rzucił na konia, uwalniając go ze sobą i nielitościwie maltretując.

Na wieść o tym gwałcie zawrzało wśród mieszczan. Jeden z nich Jan Lorencowicz, rajca miejski, uprosił u księcia Zasławskiego rotę wojska, przechodzącą właśnie przez Lwów, i na jej czele puścił się w pogoń za Niemiryczem. Dogał go wkrótce, odbił mu nieszczęsnego jeńca, a samego Niemirycza w kajdanach odstawił na zamek zasławski.

Powracającego w tryumfie Lorencowicza, wraz z Uberowiczem powitano we Lwowie owacyjnie. Z inicjatywy Kampiana miasto uczciło go uroczystym przyjęciem w ratuszu i wręceniem mu wieńca „ob civem servatum“ wzorem starożytnych Rzymian.

A dla upamiętnienia tego wydarzenia polecił Kampian wykuć z kamienia pomnik, na którym lew trzyma tarczę z herbami Rzplitej i Lwowa, a wśród nich umieszczony był w wieńcu laurowym napis: „Joanni Julio Lorencowicz S. P. Q. L.“ (R)

**Daj grosz
na L.O.P.P.**

Senator Corrado Ricci

Przed kilku tygodniami zmarł w Rzymie senator Corrado Ricci. Liczył lat 76, a ostatnich 28 lat życia poświęcił pracy nad odkopywaniem Rzymu cesarskiego i reorganizacją muzeów wiecznego miasta. Gdy powierzono mu tę funkcję, przekonał się wnet, że stosunki są opłakane. W zakresie zabytków panował zupełny zamęt. Na wykopaliska czekali obcy kapitaliści i wywozili je zagranicę. Istniał szereg cudzoziemskich instytucji archeologicznych, które często do tego dopomagały.

Corrado Ricci wziął się do dzieła. Stworzył włoski instytut archeologii i historii sztuki z siedzibą w Rzymie, który rozwinął się świetnie. Założył również wspólną bibliotekę, poświęconą

tymże przedmiotom. Obecnie ściągają one do Rzymu uczonych z całego świata.

Równocześnie kierował Ricci robotami nad odkopaniem starych dzielnic. Kolejno wyłaniały się z pod ziemi Forum Trajana, Forum Cezara, świątynia Wenerdy Rodzicielki (Venus Genetrix) świątynia Marsa. Loggia Kawalerów Rodyjskich, bazylika Maksencjusza...

Zupełnego odkopania i odnowienia Circus Maximus niestrudzony archeolog nie doczekał, ale i tak jego dorobek jest olbrzymi.

Senator Corrado Ricci znany był również jako wykwinny esseista, piszący głównie o sztuce.

Lady Estera Stanhope

AMAZONKA CZY HEROD-BABA?

Był w Anglii w epoce romantycznej wyraźny ruch emancypacji kobiet. Lecz Lady Estery Stanhope nie można do niego zaliczyć. Ona pragnęła nie równoprawnienia płci słabej, ale męskiej swobody i władzy dla siebie samej. Współczesna Byronowi i Shelley'owi, kształtowała swoje życie wedle romantycznych ideałów. Pociągał ją wschód, tylokrotnie malowany wszystkimi barwami tęczy przez poetów. Pragnęła olśniewać i zadziwiać. Wstrętne jej były wszelkie konwenanse. Ale, choć stworzyła w Syrii rodzaj niezależnego państwa, obca jej była wszelka głębsza myśl polityczna, wszelka misja cywilizacyjna. Lady Stanhope jedynie „układała dramat” dla siebie samej. Postać jej przedstawia się dziś po stu latach nam, ludziom XX w. dziwnie. Nie wiemy, czy zwać ją błędną rycerką, czy amazonką, czy Herod-babą.

Doskonała biografia wydana niedawno przez Miss Joan Haslip, wyświetla wiele kwestyj z życia Lady Estery, odznacza się znajomością epoki i żywością opowiadania.

POCHODZENIE

Ktokolwiek przystępuje do życiorysu Byrona, zaczyna od jego przodków i rodziców, ażeby odziedziczonymi silnymi namiętnościami wyjaśnić to co ma nastąpić. Zupełnie podobnie trzeba postępować i przy dziejach Lady Stanhope. W żyłach jej płynęła krew Pittów, przyzwyczajonych do władzy, nieznoszących oporu, dumnych i samowolnych; krew Grenville'ów, również rodu o nieugiętym charakterze. Ojcem jej był hrabia, który głosił zasady jakobińskie i usiłował je stosować w polityce angielskiej.

Do tego trzeba dodać historię dzieciństwa i wczesnej młodości. Estera nie chciała poddać się tyranii ojca. Jakiś czas mieszkała u babki, Lady Chatham, potem objęła sekretarstwo, zarząd gospodarstwa i obowiązki towarzyskie u Pitta Młodszego.

GOSPODYNIA PREMERA

Piękna, dowcipna, pewna siebie, rozkoszowała się życiem politycznym jakie rozgrywało się dookoła. Każdemu mówiła prawdę prosto w oczy, lubiła też prowokować opinie. Cieszyła się skandalicznymi plotkami, jakie o niej krążyły po londyńskich salonach. Umyślnie, zdaje się, ukazywała się publicznie z mężczyznami o najgorszej opinii. Ustawicznie podejrzewano ją o ten lub inny stosunek miłosny. Wszystko było nieprawdą. Estera miała zdecydować się na pierwszego kochanka dopiero po trzydziestce. Obecnie szukała męża. Flirtował z nią lord Granville, ale nie miał poważnych zamiarów, raczej igrał z królową londyńskiego wielkiego świata. Podobal jej się świetny jenerał Sir John Moore, ale ten jej zapewne nie kochał. Mimo to byłby się z nią może ożenił, gdyby nie francuska kula, która w r. 1809 pod Koruną przecięła nić jego życia, czyniąc go bohaterem narodowym. Podobno ostatnie jego słowa poświęcone były Esterze.

W owym czasie nie żył już Pitt Młodszy. Estera była przy śmierci sławnego kuzyna, którą głęboko odczuła. Została prawie bez środków do życia, ale rząd przyznał jej znaczną pensję 1200 funtów. Przykrzyło jej się jednak w Londynie. Przyzwyczała się żyć w centrum ruchu politycznego, a to ze zgonem Pitta, bezpowrotnie minęło. Śmierć Moore'a przecięła ostatni węzeł łączący ją z towarzystwem stołecznym.

Przebywała jakiś czas w Walii, wreszcie w r. 1810, licząc lat 34 opuściła Anglię — na zawsze.

NA WSCHÓD

Pojechała na Maltę, ale i tu nie miała zagrazać miejsca. Zwiedziła Konstantynopol i wyspy greckie, zakosztowała miłości. Podczas tych podróży rozbił się okręt, którym płynęła, i wtedy z konieczności przybrała męski strój orientalny, aby już go nigdy nie porzucić. Wogóle zaczęła żyć męskim trybem. Fajki prawie z ust nie wypuszczała, zna komicie jeździła konno.

Osiadła się wreszcie w Syrii, niedaleko Sydonu, w górach Libanu. Jej zamek Dabr Dzun z najbliższą okolicą stał się państwem, od nikogo niezależnym. Lubiła też Lady Estera występować — ku wielkiemu kłopotowi prawdziwych przedstawicieli W. Brytanii — jako jej ambasadorka. Na ludzi wschodnich wywierała jej kawalerska fantazja, jej praktyczność jej znajomość świata nieprzerparty urok. Dрузowie uwielbiali ją i słuchali rozkazów „królowej Palmiry”. Zwycięzca Mameluków Mehmet Ali pertraktował z nią, jakby z równą. Gdy syn jego Ibrahim przystępował do podboju Syrii, zapewnił sobie naprzód neutralność Lady Estery. Zachowała ją rzeczywiście, ale po klęsce Druzów i innych pokrewnych plemion udzieliła schronienia i gościnności setkom pobitych. Jeden ze szczerpów syryjskich, który zamordował francuskiego agenta dyplomatycznego, Lady ukarała formalną ekspedycją karną.

Dwór jej składał się z około 30 osób. Do jej najbliższych należeli lekarz przyboczny Charles Lewis Meryon i Miss Williams.

MISTYCZKA

Fascynacji, jaką Lady Estera miała dla mieszkańców Syrii, nie brak było charakteru mistycznego. Postać jej opłótł legendy. Przypisywano jej nadprzyrodzone przymioty i moc czarodziejską. Chętnie zresztą dopomagała tej opinii. Głosiła przecież, że niezadługo pojawi się nowy Mesjasz i odprawi tryumfalny wjazd do Jerozolimy — na koniach, które już czekają w stajniach Lady Estery. Ona zaś będzie mistyczną oblubienicą proroka.

BŁYSZCZĄCA NEDZA

Zaciemniał się jednak horyzont. Miss William zmarła, dr. Meryon uciekł od Lady, liczącej już ponad lat pięćdziesiąt. Służba okradała ją, do państwa czy gospodarstwa zakradał się zamęt, długi osiągnęły zawrotną sumę. Do zamku Dzun zaczęła zaglądać nędza. Domownicy, najczęściej obłowiwszy się, opuszczali dziwną panią.

Lecz ona udawała, że tego nie widzi. Pozostała zawsze nieugięta, pewna siebie, majestatyczna. W Europie uważano ją za obłąkaną. Może też nie była zupełnie normalna. Lecz wybitni ludzie, którzy odwiedzali ją na krótko przed zgonem, przeczą, jakoby można mówić o chorobie umysłowej. Pod tym względem zgadzają się Lamartine i angielski podróżnik Kingslake.

Lady przyjmowała tych gości z innego świata, jak udzielna królowa. Korzystała z ich bytności, aby wygadać się do syta. Opowiadała jakby o rzeczywistości, o bajecznych cudach wschodu, o węzłach z ludzkimi głowami, żyjących w jaskiniach Tarnu i o czarodziejskich różdżkach, wskazujących drogę do zakopanych skarbów. Lecz ni stąd ni zowąd przechodziła nagle do wielkiej polityki europejskiej, wykazując gruntowną znajomość jej zagadnień i charakterów mężów stanu. To znów zadziwiała błyskotliwym dowcipem. Siedziała pośród kłębow dymu, a z ust jej płynęły przez długie godziny potoki wymowy...

I taką pozostała do końca. Umarła w r. 1839 pośród brudu, ubrana w strzępy kosztownych sukien, do ostatniej chwili przeświadczona o swej wielkości i na krótko przed śmiercią nazywała swoje życie szczęśliwym.

WSZYSTKO DLA GESTU.

W gruncie rzeczy życie Lady Estery Stambrope ma wyraźny charakter teatralny. Cokolwiek czyniła, to nie dla realnego skutku, ale dla wywoływania efektu. Oto jeszcze jeden znamieny epizod z jej życia: Zarządziła poszukiwania za zabytkami i wykopano starożytny posąg. Lady obejrzała go — i kazała zniszczyć. Spytała, dlaczego to czyni odpowiedzialna, że nie chce, aby poszukiwania jej przypisywano interesowości.

Wielka romantyczka była wielką aktorką...

Władysław Tarnawski

Spirytyzm Doyle'a i Lodge'a

W czasach żywej wiary po wielkich wojnach ludzie, którzy utracili najbliższych, szukali pociechy w religii. Dawała im ona nadzieję spotkania w zaświatach i to wystarczało. Dziś, po wielkiej wojnie, na zachodzie, w szczególności w protestanckich krajach anglosaskich, gdzie panuje zanik wiary, rozpowszechnił się spirytyzm. Całe mnóstwo ojców, matek, żon, narzeczonych, kochanek, szuka przy jego pomocy kontaktu z utraconymi synami, mężami, narzeczonymi, kochankami.

Znany dramaturg, Sir James Barrie, który chętnie wprowadza w swych utworach żywioł nadprzyrodzony, uwiecznił te żałobne seanse w pięknej jednoaktówce „Dobrze pamiętny głos”. Stanał po stronie tych, którzy wierzą w spirytyzm. I może słusznie. Bo przecież w braku bardziej określonej i uświęconej wiary, spirytyzm jest przecie przekonaniem, że jest coś poza materią, że śmierć nie stanowi kresu człowieczego istnienia.

W sztuce Barriego mamy parę małżeńską, którą wojna pozbawiła jedyne go syna. Matka urządza seanse, ojciec ku jej oburzeniu zachowuje się sceptycznie. I duch — którego może widzieć tylko jedna osoba — jawi się ojcowi jako temu, który bardziej tego potrzebuje (najwidoczniej jako materialista, nie uznający wogóle życia pozagrobowego). Na ustach ma rodzaj zaklęcia, powtarzanego podczas seansu matki „Miłość mnie powitała”. Tym sposobem Barrie nadaje spirytyzmowi podwójny charakter symboliczny. Spirytyzm oznacza tu nietyle obcowanie z duchami, ile wiarę w świat ducha i węzły uczuciowe, łączące żywych z umarłymi. Wyjaśnia też podkład psychiczny praktyk

medjumistycznych, tak powszechnych w Anglii powojennej (900 tysięcy zabitych).

A oddają się im nie tylko ludzie przeciętni. Chcę tu zanotować dwa wypadki z kół najwyższej elity umysłowej. Twórca postaci Sherloka Holmesa, Sir Artur Conan Doyle, robi w swych pismach wrażenie człowieka nad wyraz trzeźwego. Jego bohater operuje chemią i wogóle drobiazgową analizą zjawisk materialnych. Już nawet psychologia jest u Sherloka Holmesa na drugim miejscu — pierwsze zajmuje popiół z cygara, plamka na ubraniu, czy rysa na kopercie zegarka.

Lecz i Doyle stracił na jednym z podobowisk światowych zapasów ukochanego syna. Od tego czasu zmienił się do niepoznania. Pozostałych kilkanaście lat swego życia spędził na eksperymentach, ich propagandzie i opisywaniu. W utworach i artykułach z tego czasu głosi, że nie tylko nawiązał kontakt z synem, ale poznał wcale gruntownie cały świat ducha i życie pozagrobowe. Znalazł też zwolenników. Gdy umarł w r. 1930, urządzono w jednej z największych sal londyńskich olbrzymi seans dla porozmawiania z koleją z jego duchem. Zebrało się w tym celu aż 10 tysięcy ludzi.

Drugim, jeszcze znamieniejszym przykładem jest Sir Oliver Lodge, znakomity fizyk, przede wszystkim znawca elektryczności. Coprawda na kilka lat przed wojną zaczął on zajmować się zagadnieniem bytu pozagrobowego, który ujmował z chrześcijańskiego punktu widzenia. Był wtedy już człowiekiem starym — urodził się w r. 1851, — a im kto bliżej czuje się grobu, tym żywiej zaprząta go problemy nieśmiertelności duszy i wieczności.

Lecz ku spirytyzmowi zwrócił się Lodge również dopiero wtedy, gdy syn jego, Rajmund, poległ na wojnie. Jak daleko doszedł, dowodzi artykuł, jaki niedawno umieścił w „Sunday Graphic”. Czytamy tam:

Syn opowiadał mi o spotkaniu z bratem i siostrą, zmarłymi w niemożliwie, zanim on przyszedł na świat. Rozwinęli się w znacznej mierze tak samo, jak oni, nie wiedział nic o nich, ale istniał jakiś związek, który umożliwił ich rozpoznanie.

Powiedział mi również Rajmund, że na samym progu życia pozagrobowego został przywitany przez swego ulubionego psa. Bo duchy spotykają tam również swych przyjaciół ze świata zwierzęcego. Zwierzęta, w których rozwinęły się pewne ludzkie cechy, uzyskują nieśmiertelność, gdyż „doszły do stanu, w którym istnieje pamięć indywidualna, która jest początkiem osobowości”.

Dla stwierdzenia prawdziwości swych stosunków z duchem syna, podaje Lodge, że inne jego dzieci dały mu szereg pytań, odnoszących się do rzeczy, ojcowi nieznanych. Ojciec postawił je Rajmundowi podczas seansu i otrzymał odpowiedzi, zgodne z rzeczywistością.

Sir Oliver ma dziś lat 84. Temu wiekowi i boleści po stracie należy niewątpliwie przypisać groteskowe szczegóły jego spirytystycznych odkryć. Może zresztą słysząc tu dalekie echa metempsychozy.

Nie sądzę, aby rzecz zasługiwała na śmiech. Jest ona raczej znamienne zjawiskiem, w którym przebija się wieczna tęsknota duszy ludzkiej za nieskończonością. Tęsknota ta przeciwstawia się dziś, w niedoskonalej coprawda formie, tępemu, płaskiemu materializmowi. I droga wiedzie prosto — do odrodzenia wiary.

W. T.

Pierwsza bitwa pod Lwowem

(26. -- 30. sierpnia 1914 r.)

Umilkły zakulisowe knowania i intrygi dyplomatyczne na teatrze państw europejskich, zabrały głos armaty. Austro - Węgry stanęły wobec wojny z Rosją, która z tem państwem sąsiadem nigdy dotąd nie wojowała na serio. Pomiedzy dwoma państwami o rozległej granicy zgrzytliwe nieraz rozdźwięki rozwiązywane były pokojowo, oba też państwa starały się odsunąć jak najdalej w przyszłość wzajemny porachunek. Ostatecznie dojrzał on wreszcie do militarnej rozprawy przed laty dwudziestu.

Wojna Austro-Węgier z Rosją stała się tedy zagadnieniem dnia. Rozkaz mobilizacyjny przesłany został do Lwowa 1 lipca 1914 roku. Częściowa mobilizacja 13 korpusów rosyjskich nastąpiła już 30 lipca, w dzień później wydany został ukaz ogólnej mobilizacji. W dniu 6 sierpnia nastąpiło wypowiedzenie wojny Rosji.

Plan austro - węg. sztabu gen. i układ jego sił zbrojnych.

Plan ten obejmował ofensywę między Wisłą a Bugiem, podczas gdy na wschodnim froncie przewidywana była defenzywa, mająca zabezpieczyć akcję na tamtym terenie. Liczył się plan ten z tem, że Rosja opóźni mobilizację z powodu ogromnych przestrzeni i braku dróg i na czas nie będzie gotową do marszu, wobec czego plan ten obejmował wdarcie się na Wołyń i do Królestwa, przyczem spodziewano się Rosjan gdzieś na linii Dęblin — Brześć Litewski — Równe. Rosja jednak przygotowywała się do wojny już od dłuższego czasu i wcześniej przesunęła swe korpusy nad granicę galicyjską.

Do przeprowadzenia powyższego planu zmierzali specjalne grupy, które w połowie sierpnia przedstawiały się w następującym zarysie:

I. Armia (gen. Dankl) w sile 9 dywizji piechoty, stanęła między ujściem Sanu a Łężajskiem, gotową była do marszu między Wisłą a Wieprzem w kierunku Lublina.

IV. Armia (gen. Auffenberg) w sile 7 dyw. p., organizowana w obrębie Jarosławia, zasilona dwiema dywizjami, przygotowana do marszu między Wieprzem a Huczwa.

III. Armia (gen. Brudermann) w sile na razie 4 i pół dyw., zajęła odcinek Lwowa i miała albo poprzeć IV. armję albo niwelować próby rosyjskie wdarcia się do Galicji na odcinku Sokal — Brody.

II. Armia (gen. Böhm-Ermolli) pozostawała na razie w organizacji. Jej oddziały walczyły już na południowo-wschodnim obszarze kraju. Gromadziła się ta armia na odcinku Stryj — Stanisławów i zasilana była przez coraz nowe transporty z frontu serbskiego.

Tak stanęło około 30 dywizji piechoty na froncie 280 km. długim od ujścia Sanu po Stanisławów. Ofensywę w kierunku północnym poprowadzić miała armia I. i IV., równocześnie III. armia miała być do 25 sierpnia przerzucona na obszar Lwowa, a z II. armii dwa korpusy zamierzano przesunąć nad Dniestr na linię Żydaczów — Halicz celem późniejszego współdziałania z grupą lwowską.

Układ sił rosyjskich.

Przeciw północnemu frontowi galicyjskiemu stanęły rosyjskie armie:

IV. Armia (gen. Plehwe) w sile 9 dyw. p. i 5 dyw. kaw., na obszarze Lublina z kierunkiem marszu nad San.

V. Armia (gen. Rudzki) w sile 13 dyw. p. i 5 dyw. kaw., na linii Chelm

— Kowel z kierunkiem na Cieszanów — Rawę Ruską;

Przeciw wschodniemu frontowi galicyjskiemu:

III. Armia (gen. Iwanow) w sile 12 dyw. p., 2 bryg. strzelców i 4 dyw. kaw., pod Dubnem i

VIII. armia (gen. Brusilow) w sile 9 dyw. p., 2 bryg. strzelców i 5 dyw. kaw. pod Płoskirowem.

Wstępne boje.

W dniu wypowiedzenia wojny pierwsze patrole rosyjskie stanęły u granicznych znaków, zarysował się pierwszy atak na Podwołoczyska, a niebawem rozgorzały utarczki wzdłuż całej granicy, nabierając szczególnie na sile w odcinku Sokala i Brodów.

Ranek 9. sierpnia oglądał już na terenie Chojłowa — Łopatyna — Toporowa załw kozackiej kawalerii. Powoli ożywał się graniczny teren nad Zbruczem pod Husiatynem runął żywiołowy atak na słabe pozycje austriackie. Walki kawaleryjskie coraz bardziej przesunęły się w głąb kraju. Gdy w dniu 21 sierpnia obie armie, I. i IV. wśród uciążliwych marszów posuwały

i docierała w okolice południową Lublina.

Wojska rosyjskie parły naprzód Rankiem 24 sierpnia zajęły Złoczów, w tym samym dniu Chojłów z okolicą w Radziechowie grupowały się do dalszego pochodu, padła Kamionka Strumiłowa. Rosjanie maszerowali koncentrycznie na Lwów, ścieśniając coraz bardziej linie swego pochodu.

W dniu 25 sierpnia wojska rosyjskie stanęły mniej więcej na linii Chojłów — Sokołówka — Złoczów i dalej na wschód Brzeżan — Podhajec — Monasterzysk. Marsz armji gen. Brudermanna, gdy równocześnie ruszyły wojska rosyjskie, doprowadził do **pierwszej bitwy pod Lwowem, zwanej także bitwą pod Złoczowem.**

Atak III. korpusu austr., mającego zająć pld. - zach. wzgórze pod Złoczowem załamał się w ogniu przeważających sił rosyjskich zaraz w **pierwszym dniu bitwy** (26 sierpnia). Huraganc-



się naprzód, trzecia, lwowska zbierała się dopiero na linii Magierów — Zółkiew — Żydaczycze. Ten układ III. armji wskazywał na to, że i ta armia użyta będzie do ofensywy północnej sztab a. w. wciąż jeszcze ludził się, że Rosjanie nie będą przykładali większej wagi do frontu wschodniego.

Tymczasem 21. sierpnia nadeszły wieści, iż toczą się zacięte walki pod Jarosławicami koło Zborowa, że znaczne siły rosyjskie wdarły się w kierunku Tarnopola, Trembowli i Czortkowa. Pierwszorzędnym zagadnieniem chwili była sprawa ubezpieczenia wschodniego skrzydła IV. armji przez III. armję, zbierającą się pod Lwowem i dopóki ta nie była gotowa, o dalszym marszu IV. armji nie mogło być mowy.

Wojska rosyjskie posuwały się tymczasem naprzód. 23 sierpnia korpus rosyjski pod Brodami wmaszerował na teren Galicji, z Brodów dotarł do Podhorzec, jakaś grupa wyłoniła się pod Radziechowem, a patrole jej posuwały się do Chojłowa, Toporowa i Sokołówki. 24 sierpnia stwierdzono, że dwie dywizje rosyjskie ruszyły z Tarnopola, a dwie z Brodów w kierunku na Lwów. Marszom tym towarzyszyły zacięte walki kawaleryjskie z obu stron. Przeciw tym dwóm grupom III. armja kierowała III. korpus w obręb między Pełtwią a linią Bóbrka — Przemyślany XII. korpus miał przeciwstawić się grupie tarnopolskiej, dążącej na Pomorzany, wreszcie XI. korpus, lwowski ruszył w kierunku Buska.

Gdy wypadki na terenie Galicji wschodniej układały się z dnia na dzień coraz bardziej niepomyślnie, armja gen. Dankla pobiła wojska rosyjskie w dniach 23—25 sierpnia pod Kraśnikiem

wy ogień artylerji rosyjskiej dokonał w jej szeregach bardzo znacznego спустoszenia. Nie poprawiły sytuacji rzucone na plac boju rezerwy. Szczególnie krwawymi były starcia pod Skwarzawą i wzdłuż linii kolejowej. Pod wieczór wojska a.-w. cofały się na całej linii. Niepowodzenia te pisarze niemieccy przypisują zmęczeniu wojsk skutkiem całonocnego marszu, brakiem w zaopatrzeniu wojsk w żywność, skrzydlowym atakom przeważających sił rosyjskich wreszcie bardzo słabemu poparciu własnej artylerji.

Gdy III. korpus cofał się, XII. odrzucił Rosjan pod Dunajowem, a XI. docierał patrolami w okolice Buska. W nocy lwowski XI. korpus obozował pod Krasnem. Oddziały jego marszem zmęczone, głodne. Jak daleko oko sięgało widziało się na widnokręgu płonące wsie, morzem płomieni odcinał się na tle krwawych łun naksztalt pochodni gorejący Busk.

W drugim dniu bitwy (27 sierpnia) na obszarze XI. korpusu dywizja piechoty o brzasku dnia runęła do ataku przez Krasne. Opary gęstej mgły zasnuwały okolice, nie użyczając pola widzenia. Huraganowy ogień artylerji rosyjskiej oraz karabinów maszynowych z dobrze osłoniętych stanowisk, zalewał postępującą naprzód dywizję, która poniosła ogromne straty. Jej oddziały zachwiały się i poczęły się cofać. Popłoch udzielił się sąsiednim grupom. Dywizja cofnęła się na noc do Zadwórzca i dalej do Winnik. Specjalna grupa w Narajowie, odrzucona przez Rosjan odsłoniła południowe skrzydło XII. kor-

pusu, który musiał cofnąć się nad Gniłą Lipę, wobec czego i sąsiedni III korpus, zagrożony oskrzydleniem pod Gologórami, przeszedł do odwrotu. W tym samym dniu z II. armji VII. korpus przesunięty został w okolice Rohatyna przeciw Rosjanom nad Gniłą Lipą, a dwie dywizje z Horodenki pociągami przerzucono pod Halicz z zadaniem uderzenia w kierunku północnym.

Nastął trzeci dzień bitwy pod Lwowem i o Lwów (28 sierpnia). III. armja cofnęła się na linię Żydaczycze — Przemyślany — Firlejów — Rudę, w szczególności XI. korpus zajął nowe pozycje na linii Prusy — Gaje — Podbereżce, — III. korpus w południe znalazł się na linii Gliniany — Przemyślany XII. korpus cofał się wśród zaciętych walk z kawalerją rosyjską.

W czwartym dniu bitwy (29 sierpnia) sytuacja wojsk a.-w. uległa jeszcze większemu pogorszeniu. Rosjanie zaatakowali III. armję na całym jej froncie. Zacięte walki trwały przez cały dzień. Rosjanie wprowadzali w bój wciąż nowe formacje. Atakowane wojska ustępowały. Sytuacja pogarszała się, a wśród gwałtownych walk na całym froncie zarysowały się dwie bitwy oddzielne: pod Haliczem i Rohatynem. Pod Haliczem Rosjanie odrzuceni, c- trzymawszy wczas posiłki, przeszli ponownie do ataku, tym razem zwycięskiego. Przewaga ich artylerji rozstrzygnęła bitwę. Pobite pod Rohatynem wojska cofały się na Chodorów.

W dniu 30 sierpnia Rohatyn wpadł w ręce Rosjan a upadek jego stał się **przełomowym momentem w całej bitwie pod Lwowem**, gdyż XII. korpus oskrzydłony od południa, musiał cofnąć się na Bóbrkę, co musiało bezwzględnie oddziaływać na sąsiedni III. korpus stojący na linii Przemyślany — Kurowice i cofający się na Winniki. W obrębie II. armji skutkiem upadku Rohatyna cofała się halicka grupa pod osłonę przyczółka mostowego w Haliczu.

Kończyła się pierwsza bitwa pod Lwowem. Wojska rosyjskie w zwycięskim pochodzie napierały naprzód, III armja, broniąca Lwowa, stłoczona wprost została pod tem miastem. Toczyły się szybko wypadki.

W dniu 31 sierpnia komenda III. armji powzięła postanowienie

porzucenia Lwowa i zajęcia linii Wereszycy.

Mimo bardzo groźnej sytuacji sprzeciwiło się temu na razie naczelne dowództwo „aus politischen und militärischen Gründen“. gdy jednak wojska rosyjskie w dniu 1 września wieczorem „z Kułkowa pukały do bram Lwowa“, dowództwo III. armji uważało za bezwzględny nakaz chwili wycofać swe wojska z obszaru Lwowa nad Wereszycę. Dla sztabu generalnego porzucenie Lwowa było problemem niesłychanie niepożądanym, ze względu na wrażenie zarówno zagranicą, jak i wewnątrz państwa, Lwów bowiem był stolicą kraju i uważany był za miejsce ufortyfikowane, chociaż w rzeczywistości na jego przedpolach istniały jedynie rowy strzeleckie i małe ziemne szańce.

W dniu 2 września rankiem III. i II. armja otrzymały rozkaz

odwrotu na całej linii poza Lwów, nazajutrz w pamiętnym dniu 3 września pierwsze patrole V. armji rosyjskiej gen. Rudzkiego wkroczyły do Lwowa.

ALEKSANDER MEDYŃSKI

Co to jest akmeizm

W związku z minioną niedawno trzynastą rocznicą śmierci znakomitego poety rosyjskiego, Mikołaja Gumilowa, rozstrzelanego w Petersburgu z rozkazu „cze-ki“ pod zarzutem działalności kontrrewolucyjnej, warto przypomnieć, że poeta ten był jednym z dwu założycieli i najwybitniejszym i najbardziej charakterystycznym przedstawicielem szkoły poetyckiej akmeistów, odgrywającej bardzo dużą rolę w życiu artystycznym Rosji w latach 1911—1914 i 1918—1921.

Akmeizm był prądem poetyckim, typowo rosyjskim, inteligencko - rosyjskim, choć nie pozbawionym całego szeregu cech ogólnie - europejskich. Wielka rola jego w literaturze rosyjskiej na tem przedewszystkiem polega, że powstał i zyskał uznanie, jako reakcja przeciw prądom poetyckim, dotychczas wszechwładnie panującym w literaturze rosyjskiej, — w pierwszym rzędzie, jako reakcja na przerost symbolizmu.

W latach 1895—1910 stał się symbolizm jedynie panującą szkołą poetycką w Rosji. Pierwotnie rywalizowała z nim tzw. „poezja dekadencja“, gdy jednak najwybitniejsi „dekadenci“ — Mereżkowski (gorszy poeta, niż powieściopisarz historyczny, którego „Julian Apostata“, „Leonardo da Vinci“, „Piotr i Aleksy“ zyskały sławę europejską) i dwaj najznakomitsi poeci rosyjscy początków bieżącego stulecia, Konstanty Balmont i Walery Briusow — przeszli do obozu symbolistycznego, stała się ta szkoła władczynią wszechwładną na Parnasie rosyjskim, której autorytet i której hasła gusta artystyczne, jako najwyższy kanon poetycki uznawali wszyscy twórcy, krytyka i szerokie sfery czytającej inteligencji.

Poezję symbolistyczną cechowała mglistość, miedomówienia i mistyczne tajemnice, — treścią jej istotną było szukanie, wieszczona i objawianie mistycznych prawd duchowych i metafizycznych, zw. treść konkretna (obrazowa miłosna, egzotyczna, historyczna) służyła jedynie za materiał do spekulacji metafizycznych, do wyrażania językiem i obrazami, dostepnymi profanom, wzlotów w krainę metafizyki. — Rzeczywistość więc, czy to zewnętrzna, czy wewnętrzna (psychiczna) posiadała jedynie wartość jako surowy i godny pogardy materiał, mający zapomocą wyrażalnego symbolizować niewyraźne.

Siebie samych uważali symboliści za kapłanów sztuki, poezję swą traktowali z hieratycznym namaszczeniem. Inteligencji rosyjskiej (która była, rozumie się, jedynym w Rosji konsumentem poezji artystycznej) odpowiadała początkowa poezja symbolistów: w ich dociekaniach metafizycznych, w ich tęsknotach i wzlotach mistycznych było dużo wspólnego z tak typowym dla rosyjskiej psychiki inteligenckiej „bogoiskatelstwem“ (poszukiwanie Boga).

Co więcej, poezja symboliczna, mimo swego mistycznego „posłannictwa“ hieratyczności, odseparowania się od profanów i napuszonej namaszczonej często przesadnej i nieraz stojącej się śmiesznej, — położyła olbrzymie zasługi w dziedzinie formy poetyckiej, szczególnie w zakresie rytmiki (Briusow) i melodii (Balmont), czyniąc wiersz rosyjski tak pięknym, tak śpiewnym i tak subtelny, jak nie był ni-

gdy dotąd, nawet i w utworach największych poetów czasów dawniejszych.

Mimo całej jednak swej wspaniałości formalnej, szczególnie muzycznej, stawała się poezja symboliczna tak ciemną i niezrozumiałą, tak odseparowaną od wszelkiego związku z rzeczywistością, że nie tylko pogłębiała się do ostatnich granic przepaść między nią i przestającą już cokolwiek rozumieć czytającą inteligencją, ale nawet w sferach młodych poetów, „terminujących“ u symbolistów rozpoczął się ruch w kierunku przeciwdziałania symbolizmowi.

Rewolucyjny i reakcyjny zarazem ten ruch pierwszy swój jawny, a zarazem najgłośniejszy wyraz znalazł w roku 1911 w miesięczniku „Apollo“, gdzie dwaj młodzi, dotąd ciążący ku symbolistom i wielu węzłami z nimi związani poeci, Gumilow i Sergiusz Gorodziecki ostro i otwarcie wystąpili przeciw swoim mistrzom, formułując swój program, swe credo poetyckie, i różnicę między sobą a nimi w następującym zdaniu:

— Wielbimy różę, ponieważ jest piękna, nie zaś dlatego, że jest symbolem mistycznej czystości.

Zdanie to od razu charakteryzuje nowowystępującą grupę poetów i uzmysławia przepaść między nimi a symbolistami. Dla młodych zwolenników Gorodzieckiego i Gumilowa głównym tematem poezji, jej treścią i sensem było to, co dla symbolistów stanowiło tylko materiał do spekulacji metafizycznych: rzeczywistość.

Rzeczywistość świata i życia, życia zarówno zewnętrznego, jak wewnętr-

nego (psychicznego), — tego świata i życia piękno, jego bujność i barwność jego wielostronność i głębia. Dlatego nowa grupa poetycka za mistrzów swych uważała i za patronów przyjęła twórców, pełnych bujnej siły żywotnej i rozciągających obrazy piękna świata i duszy ludzkiej, sięgając do duszy tej najgłębszych tajników: Wifona, Szekspira i Rabeis'a.

Wielbiąc i malując *con amore* świat i życie, starali się poeci nowej szkoły odtwarzać w swych poezjach to, co w życiu tem i w świecie jest najpiękniejszego najbardziej pociągającego wyobraźnia, — stąd płynie ich rozmiłowanie się w tematach egzotycznych i historycznych, rozkoszowanie się w odtwarzaniu uroku dalekich, nieznanych krajów i dawno minionych, barwnych bujnych czasów i ludzi z tych czasów. W swej optymistycznej afirmacji radości i potęgi życia i świata siłą rzeczy musieli ci poeci z nowej szkoły czuć podziw dla wszelkiego heroizmu, dla psychiki i czynów bohaterskich, dla ludzi na miarę nadludzką, dla uczuć i namiętności silnych, głębokich, potężnych lub miękkich, subtelnych, ale równie głębokich, rozwierających nieznane tajniki duszy. Z tego punktu widzenia reakcja poetów rosyjskich przeciw symbolizmowi miała charakter realistyczny - romantyczny, w zakresie treści rzeczywiście był to nawrót do romantyzmu.

W dziedzinie formy natomiast cechuje tę nową poezję poza małymi wyjątkami (Gorodziecki i jego poezje na motywy ludowe) świadomy nawrót do klasycyzmu. W przeciwieństwie do na-

maszczonej hieratyczności symbolistów uważających się za kapłanów sztuki i taką wagę przywiązujących do mistyczno - poetyckiego objawienia i natchnienia, nowa szkoła stała na gruncie żmudnego, nieraz czysto mechanicznego, rzemieślniczego niemal wysiłku, w zakresie formy poetyckiej. Świadome, zimne, mozolne, pedantyczne cyzelowanie formy było ich ideałem, — dlatego też czwartym swym mistrzem i patronem obwołali Teofila Gauthier (autora słynnych „Kamei i emalii“).

Chcąc dać wyraz swoim poglądom na rolę poety i istotę jego stosunku do swej twórczości, stworzonej przez siebie związek poetycki i wydawany przez niego almanach nazwali znacząco „Cechem Poetów“. W swych dążeniach do odrodzenia klasycyzmu byli szczerzy i konsekwentni: propagowali nawrót do wiecznotrwałych kanonów, stworzonych przez poezję i poetykę antyczną i klasycyzm francuski XVII. stulecia, apoteozowali Racine'a, sami próbując swych sił w zakresie wzorowo klasycznej tragedii wierszem (Gumilowa „Gondla“ — na tematy staroislandzkie). Głosili piękno harmonii poszczególnych elementów wiersza, kładli nacisk na opanowanie teorii poezji — w przeciwieństwie do muzyczności i śpiewności poezji symbolistów twórczość ich kładła nacisk na elementy plastyczne, malarskie, wzrokowe, nie akustyczne.

Symboliści lekceważąc ustosunkowali się względem tej reakcji: ironicznie nazywali tych młodych poetów, grupujących się w „Cechu“ akmeistami, szczytowcami (od greckiego słowa „akme“ — szczyt). Ci przejęli tę nazwę i nosili ją z dumą — stąd nazwa prądu poetyckiego — **akmeizm**.

Głównymi reprezentantami akmeizmu byli Gorodziecki, autor modnych czas jakiś, niezwykle melodyjnych, poezji, na tematy ludowe i pseudo-mitologiczno - słowiańskie, jeden z czołowych teoretyków kierunku, w praktyce mało z istotą akmeizmu mający wspólnego; Józef Mandelsztam — najwybitniejszy neo - klasyk między akmeistami (najważniejsze i najlepsze poezje w zbiorach „Kamień“, „Istia“), Ana Achmatowa, subtelna poetka, nieporównana odtwórczyni najprzeróżniejszych, najtrudniejszych do oddania zapomocą słowa, najtajniejszych stanów i drgnień duszy kobiecej.

Największym jednak akmeistą był mąż Achmetowej, wspomnianej już Mikołaj Gumilow, jeden z najznakomitszych poetów rosyjskich, jeden z największych liryków XX. w., mistrz nieprześcigniony poezji bohaterskiej, twórca znakomitych arcydzieł w dziedzinie egzotyki i historyzmu poezji. Jego kult dla tężyzny ducha, woli i ciała, dla heroizmu, w człowieku tkwiącego „kult dawnych, barwnych i bujnych czasów i nostalgia za nęcącymi, dalekimi morzami i ładami w całej pełni wystąpił we wspaniałym poemacie „Kapitanowie“.

Wojna światowa i wybuch rewolucji zataowały na czas pewien rozwój akmeizmu, w latach jednak 1918—1921 w opustoszałej i zniszczonej przez rewolucję stolicy nadniewskiej znowu zgromadzili się dookoła Gumilowa młodzi poeci, akmeiści i neo - klasycy (Adamowicz, G. Iwanow, Odojewcewa i inni) i stworzyli Drugi Cech Poetów. W tym okresie twórczość Gumilowa znajdowała się pod znakiem Parnasu francuskiego, w szczególności — poezji Leconte de l'Isle'a i Jose - Marii de Heredia. W roku też 1921, ostatnim roku swego życia, stworzył Gumilow najpiękniejsze, najdorzalsze swe dzieło: „Ślup ognisty“, szczyt osiągnięć parnasizmu rosyjskiego i „Namiot“, najznakomitszy chyba i najwyższy pod względem artystycznym poziom osiągnięty w całej, być może, współczesnej literaturze europejskiej — zbiór poezji egzotycznych.

Akmeizm, mimo swej krótkotrwałości, odegrał jedną z najwybitniejszych ról w dziejach poezji rosyjskiej XX. w.

(p. 1.)

Pierwszy pocztmistrz lwowski

Stary Lwów XVI. i XXII. wieku przedstawiał dziwną mieszaninę rozmaitych nacji. Zjeżdżali tu i osiedlali się na stałe Niemcy, Włosi, Ormianie, Grecy nawet. Dorabiali się szybko fortuny — do czego zwłaszcza we Lwowie, leżącym na wielkim szlaku handlowym nie brakło sposobności.

Polonizowali się szybko, z reguły już w drugim pokoleniu, wchodzili w koligacje ze znakomitemi rodami mieszczańskimi i szlacheckimi, — służyli wiernie w każdej potrzebie miastu i Rzeczypospolitej.

Piękną kartę w historii Lwowa posiadają przybysze ze słonecznej Italii, którzy nie tylko w dziedzinie handlu, ale i na polu kultury położyli duże zasługi dla miasta.

Jedną z ciekawszych, a mało znanych postaci jest Robert Bandinelli pierwszy „postmistrz“ lwowski.

Znaczna to musiała być figura, skoro król Zygmunt III. specjalnym dekretem z dnia 4 marca 1629 roku przyjął go w poczet sług Królewskich, wyłączając go temsamem z pod wszelkich innych jurysdykcji.

Tymże samym dekretem Zygmunt III. nadaje mu przywilej utrzymywania regularnej poczty królewskiej „do Italii i innych krajów zagranicznych i zamorskich“, — jak również ekspedycji listów ze Lwowa do Warszawy i Krakowa, oraz z powrotem.

Na podstawie tego upoważnienia Bandinelli idzie do urzędu radzieckiego na ratuszu lwowskim i tam w porozumieniu z panami rajcami układa specjalny regulamin służby pocztowej, tzw. „Ordinatio Posthae“.

Ciekawy ten dokument wpisany został do ksiąg publicznych pod datą 12 maja 1629.

Znajdujemy w nim szczegółowe instrukcje dla „kursorów“, którzy „wyklu ze Lwowa biegać z listami“ do Zame-

ścia, Lublina, Warszawy, Torunia, Gdańska, Krakowa, Kamieńca i Jass.

Jak więc widzimy, sieć pocztową bardzo rozległą i rozgałęzioną.

Kursorowie obowiązani byli składać przysięgę przed panem Wójtem Lwowskim. Obowiązkiem ich było pilnować by listy nie zginęły ani nie zostały przez niepowołane osoby zatrzymane lub otwierane. Nie wolno im było — pod zagrożeniem grzywny i kary więzienia „brać cudzych listów“.

Grzywna — i to wysoka — groziła też każdemu, kto by próbował dać kursorowi pokryjomy „cudzy list“.

Doręczanie poczty wymagało długiego czasu: „Ordynacja“ mówi wyraźnie, że odbycie przez Kursora drogi z Warszawy do Lwowa i z powrotem ma zająć nie więcej, jak „dwie niedziele“ czasu. Za wszelkie nieusprawiedliwione opóźnienie — odpowiada kursor osobiście pod karą grzywny i więzienia.

Kwestja opłat pocztowych, czyli „taxy“ jest w ordynacji wyraźnie uregulowana. Obliczało się ją albo od pół-arkusza pisma, albo od pół łuta wagi. Tak więc wynosiły opłaty ze Lwowa: do Jarosławia 1 grosz, do Rzeszowa lub Zamościa 1 i pół grosza, do Tarnowa lub Lublina 2 grosze, do Warszawy i Krakowa 3 grosze, do Torunia 4 i pół grosza a do Gdańska 6 groszy.

Ta sama zasada obliczania „taxy“ obowiązywała przy listach zagranicznych „według wagi listów i proporcji odległości miast“.

Poczta ta funkcjonowała sprawnie a musiała przynosić Bandinelliemu ładne dochody, skoro stał się wkrótce właścicielem dużej kamienicy w Ryńku, zbudowanej okazale, w stylu późnego renesansu.

Rodzina Bandinellich uległa wkrótce zupełnemu spolszczeniu, a członkowie jej osiedlili się również w Warszawie i Krakowie.

(R.)

Rocznica zniesienia niewolnictwa przez Anglię

Z końcem lipca odbyło się w Londynie wielkie zebranie, urządzone przez Towarzystwo zwalczania niewolnictwa i opieki nad krajowcami w setną rocznicę wejścia w życie nowej ustawy, która na terenie Imperium Brytyjskiego położyła kres niewolnictwu.

Był czas, że Anglicy ciągnęli olbrzymie zyski z handlu ludźmi. Śmiali żeglarze elzbietanscy byli pod tym względem pozbawieni wszelkich skrupułów i za przedsiewzięcie handlowe, jak każde inne, uchodziły wyprawy na zachodnie wybrzeża Afryki, gdzie łapano murzynów, ażeby ich potem sprzedawać. Jeden z bohaterów walki z Armadą, John Hawkins, zrobił na tym nieludzkim handlu ogromny majątek, a tak mało się tego wstydził, że gdy otrzymał szlachectwo, poprosił o herb, przedstawiający związanego murzyna — i herb ten po dziś dzień istnieje.

Dopiero w XVIII w. zaczęły się odzywać nieśmiałe głosy przeciw niewolnictwu. Lecz długo były daremne. Angielskie Indie Zachodnie opierały swój dobrobyt na pracy murzynów w tamtejszych plantacjach trzciny cukrowej, a właściciele tych plantacji rozporządzali wielkimi wpływami w parlamencie. Należy pamiętać, że wszechwładną wówczas Izbę Gmin wybierano na podstawie ustawy z XIII w. i kogo tylko było stać na to, z łatwością poprostu nabywał mandat.

Poważniejszą akcję przeciw niewolnictwu można stwierdzić dopiero z końcem XVIII w. Wszczęli ją kwakrzy, a za ich przykładem poszli także niektórzy duchowni anglikańscy. Lecz najbardziej zasłużył się członek Izby Gmin i przyjaciel Pitta Młodsze, William Wilberforce, o którym można powiedzieć, że całe życie poświęcił tej sprawie.

Pierwszym triumfem ruchu, gwałtownie zwalczanego przez plantatorów Jamajki i Barbados, była ustawa z r. 1807, zabraniająca handlu ludźmi. Lecz na to, że dzięki niej niewolnictwo samo przez się zniknie w ciągu lat kilkudziesięciu. Prawo pozostało jednak martwą literą. Ponieważ wolno było nadal mieć niewolników, więc nimi i handlowano.

Dopiero reforma wyborcza 1832 r. nadała inny obrót sprawie. Izba Gmin stała się prawdziwym przedstawicielstwem narodu i mogła przystąpić do reform, łamiąc opór tych, którzy na nich tracili. W lecie r. 1833 przeszła ustawa, znosząca niewolnictwo w koloniach brytyjskich. Moc obowiązującą miała uzyskać 1 sierpnia 1834 r., ale dzieci niżej lat sześciu od razu uzyskiwały wolność i nikt już nie miał rodzić się niewolnikiem. Prawo własności uszanowano, przeznaczając na odszkodowania olbrzymią sumę 20 milionów funtów sztel. 1 sierpnia 1834 r. około 700 tysięcy murzynów zostało wolnymi ludźmi.

Co to znaczyło, łatwo zrozumieć, o ile przyjrzymy się stosunkom, jakim ustawa położyła koniec. Właściciele traktowali murzynów gorzej, niż by było dozwolone. Piętnowali ich rozpalonym żelazem, karali ustawicznie chłostą, która nieraz powodowała śmierć, ucinali im ręce lub nogi. Sąd wkraczał tylko w razie skonu niewolnika i czasem zapadał wyrok za morderstwo, ale prawie nigdy go nie wykonywano, gdyż przyjaciele wskazanego wnosili petycje i wnet odzyskiwał on wolność, przyczem urządzano zwykle na jego cześć bankiet.

Naturalnie plantatorzy przyjęli ustawę z oburzeniem. Przez długi czas skarżyli się, że brak im robotników, ponie-

waż murzyni uprawiają tylko własny kawałek ziemi, a nie chcą wynajmować się do pracy. Zwolna jednak przyzwyczajano się do nowego stanu rzeczy i dziś między białymi a czarnymi n. p. na Jamajce panują jak najlepsze stosunki, czego nie można powiedzieć o Stanach Zjednoczonych.

W Stanach jednak niewolnictwo trwało dłużej. I tu dopuszczano się wobec murzynów niesłychanych okrucieństw, tak żywo przedstawionych przez Mrs. Beecher-Stowe w „Chacie wuja Toma”. Również „Listy amerykańskie” Diokensa i jego powieść „Marcin Chuzzlewit” są w znacznej części aktem oskarżenia przeciw właścicielom niewolników. Ostatnie sprawa doprowadziła do wojny domowej i omal nie spowodowała rozpadnięcia się Unji. Lecz południowe stany, rolnicze i konserwatywne, zostały

pokonane w niesłychanie krwawej, czteroletniej wojnie i musiały w r. 1868 poddać się reformie.

Z tem wszystkiem murzyn jest w Stanach Zjednoczonych (także północnych) nadal w pogardzie i nienawiści, która wybucha co pewien czas, powodując nieludzkie wypadki linczu.

Lecz wróćmy do Anglii. Ta, raz postanowiwszy znieść niewolnictwo, nie poprzestała na wykorzenieniu go u siebie, ale z dużym nakładem trudu i pieniędzy zwalczała handel niewolnikami. Pierwszy lord admiralacji Sir Bolton Eyres-Monsell podał na owym zebraniu londyńskim, o którym wspominałem na wstępie, interesujące szczegóły na ten temat. W r. 1876 aż 56 okrętów angielskich tropiło po morzach handlarzy ludźmi, a jeszcze dzisiaj czyni to 14 okrętów.

Bo niegodziwy handel istnieje nadal.

W jesieni 1933 wysłędzono w Afryce Wschodniej statek arabski, wiozący murzynów na sprzedaż. Prawo Mahometa bowiem, nadal obowiązujące w Arabii, nie potępia niewolnictwa. Na szczęście muzułmanie obchodzą się z niewolnikami łagodnie — znacznie łagodniej, niż czynili to chrześcijanie. Sam fakt jednak jest potępienia godny i rząd brytyjski, pertraktując niedawno z Ibn Saudem, poczynił w tej sprawie przedstawienia.

Dalej na wschód niewolnictwo kwitnie również. W szczególności w Chinach i na Archipelagu Malajskim pełni służbę domową dużo murzyńskich kobiet, przywożonych z Afryki i sprzedawanych w niewolę. Jeszcze dużo trzeba zrobić, aby wykorzenieć haniebną instytucję w całym świecie.

W. T.

Zaczarowany świat głębin morskich

Ostatni wyczyn naukowy prof. Williama Beebe, dyrektora „Departamentu Badań Podzwrotnikowych” Tow. Zoologicznego w Nowym Jorku, znakomitego oceanografa, który przed kilkunastoma dniami zanurzył się na głębokość 908 m. w głąb morza w pobliżu wysp Bermudy, znany jest czytelnikom z prasy. Nieodrzeczy jednak będzie, przytoczyć parę fragmentów z życia w głębinach morskich, jakie prof. William Beebe, opisuje w swej książce p. t.: „Beneath Tropic Seas”. (Istnieje dobre polskie tłumaczenie niniejszej książki, inż. Z. Chełmońskiego, p. t.: „W głębinach oceanu”).

Prof. William Beebe, jest fanatykiem morza. W całej jego książce umiłowanie morza i życia głębinowego, przebija wprost z każdej kartki, o czym świadczy choćby taki ustęp z pierwszego rozdziału: „Czytelnicy! Chcę wam koniecznie dać jedną radę. Niech każdy z was, zanim umrze, zdobędzie sobie w jakikolwiek sposób — pożyczczy, ukradnie, kupi lub sporządzi sam, odpowiedni przyrząd, (mowa o helmie i stroju nurka), aby móc własnymi oczami ujrzeć ten nowy świat”.

Świat, jaki ogląda się na dnie morza, jest piękny nie do wyobrażenia sobie nawet w fantazji. Trzeba samemu znaleźć się na dnie morza, by móc zobaczyć „kraję wspaniałości i cudów życia i barw, które istnieją obok nas, na tej samej naszej planecie — ziemi”. Tak pisze prof. W. Beebe, a w innym miejscu swej książki, powiada: „Ja byłem szczęśliwszy nawet od świętego Piotra, ponieważ chodziłem po dnie morza tej zimy na Haiti”...

Trudno byłoby podać treść całej książki, najlepiej samemu ją przeczytać, ograniczę się więc tylko do przedstawienia kilku ciekawych opisów dna morskiego, zaczerpniętych z książki prof. Beebe.

Prof. W. Beebe, opisuje w książce swej 10-tą wyprawę Dep. Badań Podzwrotnikowych, Nowojorskiego Tow. Zoologicznego, prowadzonych w zatoce Port-au-Prince, przy wyspie Haiti, oraz w zatoce Sand-cay i in. We wszystkich swoich wyprawach podwodnych (odbył ich ok. 300) stwierdza ten wielki oceanograf niewysłowione piękno barw, nie spotykane na powierzchni ziemi, a jakie rozciągają się przed oczyma w głębinach morskich. „Ze wszystkich miejsc na świecie, rafa koralowa jest bezwąt-

pienia jedynym miejscem, gdzie można zaspokoić pragnienie wszelkich możliwych barw”.

Trzeba pamiętać, że w badaniach tych, prof. Beebe zanurzał się zaledwie na kilka, czy kilkanaście metrów, w głąb morza; — jakże więc pięknym musi być świat podwodny na głębokości kilkuset metrów?

Ale... zanurzymy się wraz z prof. Beebe w tajemniczą głębię oceanu. Niestety... w myślach tylko... Przed szybkami naszego helmu nurkowego, trysnęła fontanna barw, papugoryba, przemieniająca się w oczach w delikatne, chińskie malowidło. Dalej ryba-nietoperz i kałamarnica, tworzą jakiś modernistyczny obraz, którego nie można sobie wyobrazić, nawet w halucynacjach pod wpływem opium. Ciemności głębinowe są rozświetlane przez „księżycowe” ryby, połyskujące srebrem łusek i snujące się wokoło.

Na dnie morskiem ścielą się u stóp naszych konstelacje gwiazd morskich — szkarłatne, brązowe, lila. Jakaś feeryczna błękitno - zielono - purpurowa ryba zastygła na chwilę w bezruchu, mieniąc się pozatem wielką ilością barw, zmieniających się za najłżejszym jej poruszeniem.

Opodal wykwiła bukiet koralowy, delikatnego koloru różowego, pstrzonego w małe pomarańczowe plamki. Z chwilą zbliżenia się do koralu, znikają kolory różowy i pomarańczowy i koral przybiera barwę łososiową. Wpływają na to polipy, mieszkające na koralu, które z chwilą zbliżenia się do niego, schowały swe pierzaste główki, opatrzone włoskami czułków, w pochewki. Za dotknięciem koralu, miliony drobniutkich polipów, znikają w jego kamiennym wnętrzu, a koral przybiera barwę kości słoniowej. Trzykrotna ta zmiana kolorów wprawia nas w zachwyt, przerywany zwróceniem uwagi na dużą rybę, pięknie połyskującą barwą błękitną z trzema pręgami koloru brązowego.

Obok identyczna ryba, cała lśniąca żółto i gęsto nakrapiana czarnymi centkami. Tajemniczy świat głębin morskich hojnie rozłącza przed naszymi oczami swoje powaby. Dookoła, jak tylko wzrok sięgnąć może, widzimy jakieś wały, skały i głązy, dalej — pola wrzosowe, gazony pierzastej trawy i flosów, pojedyncze kwiaty chryzantem w pełnym rozkwicie, niezapominajki i olbrzymie paprocie, mchy i zarośla, a we

wszystkim tem, nie ma ani trochę... roślinności. Wszystko to żyjące zwierzęta, wyposażone przez naturę w tak wielką różnorodność form i barw.

A oto scena, jakich nie brak i w głębiach morskich, a jakich miliony odbywa się codziennie na całej kuli ziemskiej — walka o byt... Mała papugoryba niebacznie podpłynęła pod krzak koralowca i gorgonii, zamieszkały przez motylorybę, która jakkolwiek o połowę mniejsza od swej przeciwniczki, z wściekłością rzuciła się na papugorybę — nastroszywszy przedtem kolce. Rozpoczęła się walka — gonitwa, zakończona gdzieś w środku koralowego wachlarza, zapewne śmiercią jednej z ryb.

Po chwili wzrok nasz przyciągają piękne linie i desenie koralu Meandrina, ułożone na kształt tarasowatych zachodzących Himalajów.

Pomiędzy wzgórzami Meandrinie wyrastają wysokie, falujące rozgałęzienia „piór morskich”, koralu rogatego, nie tylko naśladujące rośliny, ale wręcz zmieniające ich właściwości. Łodygi koralu rogatego pęcznią od tysięcy polipów, koloru ciemnego, które obrały sobie na nich mieszkanie. Opodal, niby portjery, zrobione z nakrochmalonej materji, falują „wachlarze morskie”. Odzieniegdzie na kopułach wzgórz koralowych kiełkują maleńkie, o podwójnych skrętach zwierzkorzewy, t. zw. nereidy — wyglądem swym przypominające chińskie pagody. Małe, o błękitnym odcieniu kielbie-babki, raz po raz przemykają ponad ciemnożółtym dnem morskiem, zaś ponad widnokresem bezszelestnie przesuwają się jakieś potwory, dziwniejsze od smoków z bajek.

Ciekawy jest opis spotkanej kałamarnicy. Skrócona perspektywicznie masą wody — pojawiła się kałamarnica ze wstęgą falujących płetw. Ciało jej zmieniające barwę, od szkarłatnej aż do zupełnie białej, wstrząsać może najsilniejsze nawet nerwy. Dwie pary ogromnych oczu, opatrzone gestemi krzaczkami brwiami, czynią z niej przerażającego potwora. Również pięknie wyglądają kolonie gąbek. Jedne zamieszkałe przez krewetki „kolatki”, drugie przez inne ryby, tak piękne tworzą krajobrazy podwodne, że niesposób je opisać. Wielka różnorodność form i barw, tworzą najrozmaitsze cudowne kombinacje. Świat zwierząt, żyjących w głębinach morza, ich formy zewnętrzne i życie, są tematem do bardzo ciekawych badań, które prof. William Beebe zapoczątkował na większą skalę.

Tych kilka luźnie i bardzo pobieżnie wyrwanych z książki prof. Beebe opisów, w bardzo małej i niedokładnej części, daje wyobrażenie piękna, kryjącego się na dnie oceanów.

Tadeusz Kwaśniewski

Powodziowe lata na południowych ziemiach Polski w XIX i XX wieku

Powódź wiślana z r. 1812 długo zachowała się w pamięci ludzkiej. Bezustannie prawie 14-dniowe deszcze i powstałe stąd wylewy wyrządziły wiele szkody.

R. 1813 przyniósł powódź, które należy zaliczyć do najznaczniejszych i najdotkliwszych w dziejach tych ziem.

Powódzie objęły całe dorzecze Wisły i Sanu i spowodowały najwyższe straty materialne, nędzę i niedostatek. Stan kulminacyjny wody na Wiśle wynosił w Krakowie dn. 26. VIII. — 4,95 m.; dn. 30. VIII. w Warszawie 6,05; 1. IX. w Toruniu 6,09; dn. 4. IX. w Tczewie 6,43 m. Nadzwyczajne wielkie wody na Dunajcu wynosiły w Zgłobicach 5,14, w Bogumiłowicach 5,60, w Zabnie 6,30, w Uściu Jezuitskim 4,58 m. W Krakowie rozlana Wisła zajęła przestrzeń od Gór Krzemińskich przez całą szerokość pastwisk zwanych Błonie aż po Bronowice. Zalany został cały Zwierzyniec. Największe szkody wyrządzone zostały przez zerwanie mostów. Zalane zostały i zniszczone przedmieścia Stradom, Kazimierz, Podgórze i inne. Wisła zmieniła swe koryto pod Janowicami i Holendrami. Obszerna dolina Rudawy przedstawiała jedno wielkie jezioro. Wokolicach nad rzeką Białą uległy zniszczeniu mosty pod Kętami, Andrychowem i Wadowicami oraz część murowanego gościńca. Z wodą spłynęło całe Porabie. W Babicach Wisłok zatopił całą przyległą dolinę, poniżej zaś Rzeszowa rozlał się szeroko na dolną Sanu. Straszna ta powódź na poręczach Dunajca i Wisły, przez namulenie terenu podniosła miejscami poziom o 4 do 5 stóp. Łoża Dunajca i Popradu wskutek powodzi stały się do spławu i żeglugi niezdatne. Z lasów demblińskich (Dembliń p. Dąbrowa) zabrała woda 2,600 sagów drzewa dębowego wartości 20,800 zł. Wówczas to poniżej Przemyśla złączył się Wiar ze Sanem.

W r. 1816 nadzwyczajne ulewę i deszcze w d. 17. — 19. VI. spowodowały wylewy rzek. Rudawa zalała okolice nadbrzeżne aż po Kraków. Szczęściem dla Krakowa była okoliczność, że wezbrane wody Rudawy wyprzedziły wody dopływów górskich. Krzeszowice zniszczone zostały zupełnie. Wysokość wody na równinie wynosiła 2 łokcie.

R. 1818 odznaczył się wielkim wylewem Dniestru w górnym jego biegu.

1828 r. wskutek ulew, 26. VI. wynikłej stąd powodzi na Złotej Lipie została zniszczona część Brzeżan wraz z przedmieściem.

R. 1830 w połowie czerwca powódź w okolicy Krakowa na rzekach Białucha i Wodka wyrządziła wielkie szkody zwłaszcza w obu Prądnikach.

Niespodziewane wezbranie Dunajca w dn. 5 i 6. V. 1837 r. wyrządziło dotkliwe straty. Wysokość poziomu wody równała się prawie wysokości pamiętnej powodzi z r. 1813. Wówczas to w Sanockiem nie tylko rzeki, ale nawet najmniejsze potoki, toż samo w Jarosławskim. Na Wiśle w tym czasie była powódź o 24 cale niższa jak w r. 1813. W okolicy między Prutem a Dniestrem powódź zerwała wszystkie stawy. Deszcze spadły w dn. od 19. do 23. VI. przyczyniły nowe powódzie.

Powódź w dn. 5 i 6 V. na Sanie zatopiła 13 statków — zbożem i drzewem. Szkoda, wynosiła 60,000 zł. pol. w tym czasie woda na Wiśle, której wysokość wynosiła około Zawichości 10 łokci, zatopiła 60 galarów wyrządzając kupcom krakowskim wielkie straty.

W r. 1839 dn. 10. VIII. Dunajec pod N. Sączem rozlał się na szerokość blisko 400 sążni, w górę zaś wznosił się o 11 stóp 6 cali nad poziom zwyczajny. Następny wylew Dunajca przypadł na dzień

24. VIII. i był w skutkach swych o wiele dotkliwszy. W czasie tym wystąpiła katastrofalna powódź na Wiśle, wysokość wody wynosiła w dn. 24. VIII. w Krakowie 4,09, dn. 28. VIII. w Warszawie 5,96. W Bocheńskim powódź zatopiła wszystkie niziny nad Wisłą od Grobli do Ujścia Solnego tudzież okolice Niepołomiec. Wisłoka zatopiła wówczas Ropczyce i część Rzeszowa. Wezbrana na niej woda wynosiła 20 stóp ponad stan normalny. Okolice między Rudkami i Koniuszkami uległy zatopieniu i zalana została połowa Chyrowa. W dn. 25. VIII. wylał San i Wiar i zalał całą okolicę, w Przemyśle pod mostem woda wzniosła się o 16 stóp i 10 cali ponad stan zwyczajny. Nadzwyczajne powódzie nawiedziły góry karpackie.

W r. 1840 wylewy Ropy, Jasieki i Wisłoki spowodowały takie szkody, że w wielu nadbrzeżnych wsiach nieliczne tylko plony zostały zebrane. Przez wystąpienie Dunajca pod Wojniczem i Wisłoki pod Pilznem została zerwana w końcu czerwca komunikacja. W tym czasie

R. 1843 odznaczył się wielkimi wylewami wód wskutek szczególnie dżdżystego lata. Na rzece Stryju woda w d. 26. VII. gwałtownie wezbrała i wyrządziła wielkie szkody. Następna powódź w dn. 8. i 9. VIII. znowu spustoszyła przyległe grunty, w samym zaś Stryju zalała około 40 domów. Od 7.—9. VIII. wskutek nieustannie, prawie padających deszczów poziom wszystkich rzek podniósł się do wysokości z r. 1813. Najdotkliwszymi w skutkach były wezbrania rzek górskich.

W dn. 9. VIII. Dunajec z Popradem wzniosły się na wysokość 12 stóp ponad stan normalny. Rozlane wody Dunajca, Białej, Wisłoki i Wisły wyglądały jak jedno wielkie morze.

Katastrofalne powódzie przyniósł bardzo mokry r. 1844. Wskutek sześciu dniowych deszczów (19—26. VII.) wezbrały wszystkie rzeki. Powódź ta trwała od dn. 22—31. VII. Wisła wystąpiła ze swego koryta, przerwała obwałowania, i tak wezbrała pod Sierosławicami i Ujściem Solnym, że na prawym swym brzegu zatopiła przestrzeń na pół mili wszczepa na parę wzdłuż. Stan wody wynosił 25. VII. w Krakowie 5,29; w Zawichości 5,09; dn. 27. VII. w Warszawie 6,55 m. W Krakowie został zalany cały Zwierzyniec. O jakiegokolwiek pieszej, konnej lub kołowej komunikacji nie było mowy, doraźnie zaś odbywała się komunikacja na czółnach. Wylały też Dunajec, Biała, Raba, Wisłok; ten ostatni wylewał przedtem w czerwcu (19-go) później zaś w sierpniu a nawet w listopadzie. Rzeka Wątok wyrządziła w Tarnowie ogromne szkody. Dunajec wylał w Otfinowie a Wisłoka w Rzechowie. Nie mniej dotkliwe szkody wyrządził San na przedmieściach Jarosławia. Woda na Bugu w dn. 30. VII. wynosiła 12 do 19 stóp, ponad poziom normalny. Pod Krynopolą wody rozlały się na 1/4 mili wokół. Nie mniej obruszył się Dniestr, w Stanisławowskiem w okolicach nadbrzeżnych powstały tak wielkie zniszczenia, że musiano ludności spieszyć z doraźną pomocą.

W r. 1845 powódzie miały miejsce w

czerwcu i połowie lipca. Wylały Wisła, Wisłok, Wisłoka, Ropa, Biała, Raba i San. Stan katastrofalny wody na Dunajcu wynosił w Zgłobicach 4,21 m., w Bogumiłowicach 3,46, w Zabnie 5,50, w Uściu Jezuitskim 4,15. W N. Sączu Dunajec i Kamienica wzniosły się o 9 stóp ponad stan zw. D. 18. VII. zerwał San most pod Przemyślem, wyrządził wielkie szkody w Sanockiem. W Białej skutkiem oberwania się chmury dn. 27. woda zalała całe miasto. Szkody i nędza były tak olbrzymie, że odbiły się głośnie echem w kraju i zagranicą. W czasopiśmie ukazały się odezwy wzywające do składek na rzecz powodzi, na „...ginących z głodu Nadwiślańców...”. Doraźnie zebrana w całym kraju kwota 115 tys. złr. m. k. częściowo tylko uleczyła zadane rany.

Skutki tych powodzi nie mało przyczyniły się do powstania strasznej nędzy, która trwała przez lata następne do połowy roku 1848.

Druga połowa XIX nie minęła też powodzi, przypadły one na r. 1884 i w ciągu roku powtórzyły się dwukrotnie, a w skutkach były straszniejsze od poprzednich.

Jakkolwiek w XX nie osiągnął jeszcze swej połowy trzykrotnie jednak spustoszył powodziemi okolice nadbrzeżne. Przypadają te powódzie, których byliśmy świadkami na r. 1903, 1925, i na br. 1934. Skutki tej ostatniej dopiero stają przed naszymi oczyma w całej swej przerażającej okropności.

Dr. Stanisława Namaczyńska

Ciekawostki ze świata

Kawał prasowy

Rzecz wiadoma, że w sezonie ogórkowym gazety rzucają się łakomie nie tylko na wszelką sensację, ale poprostu na każdą rzecz, która może zapełnić łamy. To też ogólna radość zapanowała po redakcjach paryskich, gdy otrzymały wiadomość o ogromnym odpuszczeniu, mającym odbyć się w miasteczku Mouren w Bretanii pod protektorem biskupa z Vannes i prefekta departamentu Morbihan. Nietylko ta rzadka we Francji kooperacja władzy świeckiej z duchowną budziła zainteresowanie. Z odpustem

miał łączyć się szereg oryginalnych zwyczajów. Między innymi odbyć się miał w kościele w Mouren rodzaj jarmarku małżeńskie. Młodzi ludzie stają szeregiem wzdłuż portyku, dziewczęta wybierają sobie mężów, a proboszcz czeka ze stulą... Wszystko zaś miało odbywać się na malowniczym tle starożytnych budowli. Katolicki dziennik La Croix umieścił śliczną fotografię kościoła w Mouren, nadesłaną przez nieznanego redakcji informatora.

Rojno było w pociągu do Vannes w przeddzień odpustu. Specjalni korespon-

denci zawczasu przygotowywali sobie efektowne zwroty, kwiatki stylistyczne i dowcipy — głównie na temat owego jarmarku na mężów. Jeden w wielkiej gorliwości napisał nawet wstępny korespondencję, opisując wnętrze starego kościoła i malownicze nakrycia głowy chłopców i dziewcząt. Naprawdę tylko szukano na mapach owego Mouren, pocieszano się jednak, że wskazówek co do dalszej podróży udzieli prefektura w Vannes.

Tam też dopiero dowiedziano się, że nie tylko niema odpustu, ale też, że i żadne Mouren nigdy nie istniało. Reporter, który swoją pierwszą korespondencję wysłał był po drodze, musiał na gwałt telefonować, aby jej nie umieszczano.

Pierwsza ofiara wojny światowej

Pierwszą ofiarą wojny światowej był prawdopodobnie żołnierz 68 pułku piechoty austriacko-węgierskiej, nazwiskiem Paweł Kovács. 29 lipca 1914 r. po wypowiedzeniu wojny przez Serbie, wojska jej rozpoczęły z kilku stron gwałtowny ogień na most, łączący Belgrad z Zemunem. Węgry odpowiadali, ale obie strony zajęły kryte stanowiska i przez jakąś godzinę strzelaniny nie było ofiar. Lec 68-mu pułkowi zabrakło amunicji i komendant posłał dwóch żołnierzy po nowy zapas do budynku celnego, stojącego po austriacko-węgierskiej stronie Dunaju. Nie chciał wysłać od razu większej ilości żołnierzy, aby nie zwrócić uwagi nieprzyjaciela. Aż wreszcie Serbowie spostrzegli owych dwóch ludzi i zasypali ich kulami. Jeden padł ranny, drugi, Kovács, zabity — kula przebiła mu serce.

Obecnie Zemun należy do Jugosławii, która zezwoliła na przeniesienie zwłok Pawła Kovácsa na Węgry i 29 lipca odbyło się to z wielką uroczystością. Koszta obchodu pokryto ze składek, zebranych przez pismo Magyarország.

Muzyka sfer, przyroda i radio

Nie mam tu na myśli owej „harmonii sfer”, którą łączyła filozofia starożytna z pojęciem ładu, porządku czy też systemu planetarnego lub geometrii, lecz chodzi mi o jeszcze inną muzykę, o której się może nawet i „filozofom nie śniło”. Nie jestem też stuprocentowym wielbicielem radia, zwłaszcza gdy mowa o jego letnim programie, jakże rozkoszną więc może być chwila, gdy aparat radiowy w poszukiwaniu fal eteru o rozmaitej długości, natrafi nagle na to, co wszędzie spotkać można, a czego się najmniej spodziewało: na Przestrzeń. Dziwne się wówczas odbywają w nim rzeczy: groźne pomruki oceanów, dalekie poszumy burz, starcia wrogich sobie warstw powietrznych lub wyładowania rozsłanych żywiołów, zaklęcia tajemnicze czy żałosne skargi, wszystko to przewala się przez jakiś nieuchwytny mikrofon i przelewa na nas potopem dźwięków nieartykułowanych, budząc uśpioną jedynie tęsknotę za przestrzenią, bezmiar, nieskończoność. Jest to orkiestra z nieznanymi muzyków złożona, z anonimowym dyrygentem na czele, która darzy nas muzyką najbardziej futurystyczną na świecie, bo niepowiązaną żadnymi prawidłami sztuki usankcjonowanej.

I tu napływają myśli, urzeczywistnione dawno gdzieś indziej zagranicą, i nie takie dziwne, jakby się zdawało. W tym

wieku mechanizacji ogólnej, zmotoryzowania życia codziennego, zaciętrzewienia politycznego, gospodarczego i debat bez końca, ale i rozwoju wszelakich dyscyplin naukowych i artystycznych do ostatecznych zda się granic — możnaby na chwilę „zatrasnąć drzwi od Europy hałasów”, a otworzyć szeroko okiennice na świat przyrody, pełen rozgwaru tyśiącia głosów żadnym nieskrepowanych kanonem. Z jakąż rozkoszą chciałoby się przerwać np. audycję muzyczną słuchając właśnie zupełnie nowej, a skomplikowanej wielce transkrypcji „Melodii” czy „Romansu” Rubinsteina, lub ukrócić nieco wychwalanie ulepszonej względnie najlepszych giłz lub poduszek i wkładów sprężynowych! Natomiast wsłuchać się w tysiączne odgłosy przyrody, idąc śladem mikrofonu po samotnych ścieżkach leśnych, lub zawieszony na skalistym cyplu nadmorskim, wśród zawożenia wicherów i skarg spływających po strunach deszczu.

Nie wątpię, iż taki „reportaż muzyczny” rojący się od głosów ptasich i bulgotu fal, a pozbawiony komentarza słów, zastąpiłby z powodzeniem całą „Symfonię alpejską” Straussa lub owe niezliczone „zródełka” i „wodotryski” światowej literatury muzycznej.

Urok zaś rozśpiewanej przyrody da się przyrównać chyba jedynie do piękna jej wielkiego Milczenia.

est.